

Andrzej Kołaczkowski-Bochenek

Nie idź tam człowieku!

Santiago de Compostela



© Wydawnictwo WAM, 2009

Redakcja

Jakub Kołacz SJ

Korekta

Grzegorz Korczyński

Projekt okładki,
opracowanie graficzne
i kartograficzne

Krzysztof Błażejczyk

Zdjęcia z archiwum Autora

ISBN 978-83-7505-225-1

WYDAWNICTWO WAM

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 012 62 93 200 • faks 012 429 50 03

e-mail: wam@wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 012 62 93 254-256 • faks 012 430 32 10

e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

Zapraszamy do naszej

KSIĘGARNI INTERNETOWEJ

<http://WydawnictwoWAM.pl>

tel. 012 62 93 260 • faks 012 62 93 261

wydawnictwowam.pl





Co ja tu właściwie robię?

Jestem paciorkiem w długim łańcuszku nanizanych na drogę, obładowanych plecakami indywiduów. Wszyscy mamy jedno w głowie: zdążyć do „Albergue”, zanim dojdą tam inni, złożyć plecak obok łóżka, a potem siedząc, na progu, obserwować, jak ktoś zmęczony i rozczarowany rusza (może ja) w dalszą drogę z nadzieją, że wszyscy ci młodszy, szybszy, silniejsi już swoje miejsca do spania znaleźli.

Co ja tu właściwie robię?

I skąd się wzięło to „my”. To przecież ja jestem tym, który musi się jeszcze trzy kilometry wlec, mimo że nie jestem w stanie przejść nawet trzech metrów. Ja! Nie „oni”, a już na pewno nie „my”.

Ale przecież powinienem być szczęśliwy, że to tylko trzy kilometry, a nie pięć, albo zgoła siedem – niewyobrażalna odległość.

Jestem na Camino de Santiago, i ludzie, których spotykam, dzielą się na trzy kategorie: tych, którzy ruszyli w drogę po przeczytaniu książki Hape Kerkelinga — to ja i wszyscy Niemcy; tych, którzy przeczytali *Pielgrzymo* Paulo Coelho — to reszta świata, z wyjątkiem Amerykanów, których do pójścia w drogę natchnęła swoją *Journey of the Spirit*

Shirley MacLaine, i wreszcie ci, którzy nie czytali żadnej z tych sławnych książek. Liczba takich, którzy przeczytali przynajmniej dwie z tych książek jest tak niewielka, że sama wzmianka o nich jest już stratą miejsca i czasu. Ale są tacy, więc i o nich wspomnieć trzeba. Ja się do nich w każdym razie nie zaliczam.

Mnie w drogę wysłał Hape, popularny niemiecki komik, homoseksualista, który zdobył sławę, drwiąc niemiłosiernie z różnych ważnych postaci. Wszystkiego bym się po nim spodziewał, lecz na pewno nie tego, że ruszy w drogę na duchowy trakt Europy. Tym bardziej że i postury jest raczej puszystej, mało sportowej. A teraz wlokę się tędy, tłumiąc wściekłość na niego za to, że obok mnie idą tysiące ludzi tak jak ja, pchniętych w drogę, którą bez niego nigdy by nie poszli, a najbardziej chyba wściekam się, że sam dałem się porwać modzie.

Jeżeli on dał radę, pomyślałem, to ja dam radę dwa razy – i trzy tygodnie po przeczytaniu książki byłem już w drodze. W butach, których wibramowe podeszwy spokojnie wytrzymają dalsze osiemset kilometrów (to razem będą trzy tysiące), z plecakiem, co przez siedemnaście lat tak się do moich pleców ułożył, że czasem nie wiem nawet, że go mam na sobie, ze sprawdzonymi skarpetkami, bielizną, i z nowym kijkiem do podpierania (kolana już nie chcą śmigać) przejdę tę drogę śpiewająco, tym chętniej, że Hiszpanię znam jak dotąd tylko od strony plaży.

A i sama droga wydaje się o niebo łatwiejsza od przestrzeni Laponii, karpackiej głuszy czy przepelnionych szlaków alpejskich. Szykuje się piękna, łatwa i niedroga wycieczka. Musi coś być w tej drodze, że ją tylu opisuje. Szkoda, że aż tylu nią idzie.

Idą z nami także ci inni. Ci, którzy nic na ten temat nie czytali, którzy nic nie wiedzą, nie mają pojęcia, jak się przy-

gotować. Gnani wiarą i zachętami swoich proboszczów, bez przygotowania, bez dobrego plecaka i specjalnej bielizny, nawet od deszczu nic przyzwoitego nie mają. W codziennych swoich butach, idą jak istoty nie z tej ziemi, co to nigdy nie widziały sklepu sportowego. Idą z obawą, nieśmiało ważą się w nieznaną drogę. Dziwnie i trochę nie na miejscu wyglądają w masie dobrze wyposażonych, wesołych i pewnych siebie turystów.

Po paru dniach patrzę już na nich innym okiem. To właśnie oni są tu u siebie, bo bez nich nie byłoby tej drogi, a bez tej drogi nie byłoby ich. To oni właśnie są prawdziwymi pielgrzymami. My, produkty przemysłu turystycznego, rajskie ptaki, przylatujące tu po kolejną porcję wrażeń, prędko nauczymy się ich szanować. A co jeszcze ważniejsze, nauczymy się, że najważniejszym pytaniem na tej drodze nie jest: „gdzie tu najbliższy bar?”, mimo że odpowiedź na nie jest często egzystencjalnie ważna, lecz: „dlaczego idziesz?”.

I wcale nie dlatego, że odczuwasz potrzebę zgłębienia duszy bliźniego. Nie. Twój bliźni w odpowiedzi mamrocze coś, co dla niego wydaje się ważne, lecz ty wsłuchujesz się w jego pospiesznie zebrane do kupy zwierzenia tylko po to, by usłyszeć w niej swoje własne motywy. Słuchasz i czekasz niecierpliwie, aż skończy wreszcie gadać i sam zada ci pytanie: „a co ciebie tu przygnało?”. Wtedy zalewasz go własnym słowotokiem. A jeśli nie spyta? Wtedy zalewasz go tym samym, z tą różnicą, że w tym wypadku wybierasz formę polemiki, co ma tę zaletę, iż wygląda, jakby cię naprawdę obchodziło, co twój rozmówca powiedział.

Jakby się jednak rozmowa nie potoczyła, ważne jest, że ludzie sobie stale nawzajem coś opowiadają i za każdym razem przytaczają inne motywy. I to jest właśnie sens drogi. Tylko wpadamy na to dużo, dużo później.

Teraz przemierzam właśnie Pireneje w niebiańskiej pogodzie, sam w słońcu i błękicie, patrzę na kłębiące się pod mną chmury. Jestem bardzo zadowolony z decyzji wzięcia w St. Jean Pied de Port taksówki, która mnie wywiozła do Orrison. To pierwsze schronisko, w którym można przenocować w drodze do Santiago, ale ponieważ pięknie położone, więc zawsze pełne. Zresztą jest to w zasadzie normalne górskie schronisko, w którym oprócz pielgrzymów, zatrzymują się także liczni w tych okolicach turyści.

Początkowy plan był taki, aby zarezerwować sobie telefonicznie w schronisku miejsce i pierwszego dnia dojść tylko tam. Cały etap liczy dwadzieścia siedem kilometrów i jest stanowczo za długi dla 66-letniego mieszczucha, który do tego stale siedzi przed komputerem. Dlatego postanowiłem go sobie podzielić. Dziewięć kilometrów, to akurat dobry dystans na pierwszy dzień i biorąc taksówkę, skracam sobie ten etap do osiemnastu kilometrów, co ciągle jeszcze (jak na pierwszy dzień) jest sporo, ale mieści się w rozsądnych granicach.

Idę więc sobie radośnie w majowym słońeczku naprzeciw pięknej przygodzie. Za mną, na podejściu do Orrison, umiera właśnie czterdziestoparoletni Kostarykańczyk. Ale tego do wiem się dopiero przy kolacji w restauracji w Roncesvalles, gdzie przy zastawionym dla pielgrzymów stole siedzi koło mnie niedźwiedziowaty, dobroduszny Bawarczyk. Był właśnie przy tym, próbował ratować, ale nie dało się już zrobić nic więcej, jak tylko zadzwonić po karetkę, która zmarłego i jego brata, bo we dwóch mieli tę drogę przejść, zawiozła z powrotem do St. Jean Pied de Port. Prawdopodobnie był to zawał serca. Mój rozmówca nie wie. I nie dowiedzieliśmy się tego do końca, mimo iż wydarzenie podążyło za nami, aż do samego Santiago de Compostela. Opowiadano, że brat zmarłego chciał z jego ciałem wracać do domu, ale rodzina

poleciała mu kontynuować pielgrzymkę. Jeżeli tak, to musiał iść w odstępie kilku dni za nami, niosąc w samotności św. Jakubowi duszę zmarłego brata.

Oni nie byli turystami.

Ja byłem. W biurze obsługi pielgrzymów w St. Jean Pied de Port, gdzie odbierałem swój „Credential del Peregrino” – inaczej mówiąc „legitymację tanich schronisk pielgrzymich” – musiałem wypełnić w formularzu rubrykę „Powody: religijne, duchowe, turystyczne, inne”.

Turysta ze mnie na pewno, ale zakreśliłem „duchowe”. Z jednej strony głupio na najstarszej drodze pielgrzymkowej świata występować jako turysta, z drugiej wcale nie musiałem kłamać. Czyż wszystkie moje dotychczasowe wędrówki nie miały duchowych motywów? Kto szuka samotności w bezkresach lapońskiej tundry, kto na rozkwieconych karpackich łąkach rozmyśla nad sensem życia, czy nie robi tego z powodów duchowych?

Dając tę odpowiedź, nie wiedziałem jeszcze, w jakim stopniu byłem jednak turystą. Dopiero wiele dni później dogoniły mnie te dziewięć kilometrów taksówką. Dogoniły mnie, prześladowały i męczyły, przypominając, że już nie przejdę całej drogi. A okoliczność, że nie musiałem przecież tego nikomu opowiadać, łagodziła poczucia straty bardzo ważnego odcinka drogi – jej początku.

Tymczasem byłem jednak w Roncesvalles. Pireneje na stronę hiszpańską spadają stromo i na odcinku czterech kilometrów trzeba pokonać tę różnicę wysokości, na której osiągnięcie od ich północnej strony potrzeba było dwadzieścia. Nic dziwnego, że to zejście należy do najbardziej osławionych na całej drodze. Mogę tu iść tylko tyłem. Wcale nie jest tak trudno, a oszczędza się kolana w stopniu niebywałym.

Pierwsza noc w towarzystwie siedemdziesięciu osób, w wielkiej sali przerobionej z klasztornej refektarza, mogłaby być nieprzyjemna. Ale nie była. Między innymi jest to zasługą uroczej pary gospodarzy, Holendrów, których turnus właśnie na ten czas przypadał. Wiele schronisk należy do rozmaitych stowarzyszeń i opiekują się nimi wolontariusze, na ogół poświęcając w tym celu swój urlop.



Tu pierwszy raz została nadwyreżona moja turystyczna powłoka. Powitanie bowiem nie było uprzejme, nie było nawet serdeczne (bo i takie się w hotelach zdarzają). Nie. Zostałem powitany jak człowiek, który ma przed sobą jakieś ważne zadanie do spełnienia, jest zmęczony i należy mu się odpoczynek. Jak pielgrzym właśnie. Czyli ktoś, kto – inaczej niż turysta, mający przyjemność w samym wędrowaniu – po-

W drodze do Roncesvalles



dejmuje się tego trudu dla jakiegoś ważnego, niedostępnego turystom celu...

Sen przyszedł szybko, do czego przyczynił się nie tylko marsz, ale i pokaźna ilość wina, którą wchłonęliśmy z Bawarczykiem, ze smutkiem potrząsając głowami nad losem pielgrzymy z Kostaryki.

Ranek był tak piękny, że już piękniejszy być nie mógł: ptaszki śpiewały, kwiaty pachniały, słońko świeciło, a lasy dawały głęboki romantyczny cień. Cały świat był prześiąknięty sprawdzonym, wszechobecnym, przynależnym do poranka turystycznym kiczem. Dobrze się idzie przez taki kicz.

I wtedy stanąłem nad grobem. A może przed pomnikiem, bo skąd by w naszym przeregulowanym, sterowanym konwencjami świecie, wziął się grób w lesie? Więc przed pomnikiem, raczej wspomnieniem po człowieku, który chciał iść tam, gdzie ja.

Shingo Yamashita doszedł tylko tutaj. To było w sierpniu 2002 i miał 64 lata. Jego szczątki spoczywają prawdopodobnie w ukochanym Nipponie, ale on sam jest tu, z nami, i każdy przechodzący jest przez chwilę z nim. Każdy coś kładzie: kamyk albo wstążeczkę, cokolwiek, co akurat jest pod ręką i pomyśli o tym, co go właśnie najbardziej trapi. Na przykład, czy warto jest ulegać ambicjom i natężyć się ponad własne siły? Co przyszło Kostarykańczykowi z tego, że tak odważnie zaczął? Wziąłby tak jak ja taksówkę, doszedłby spokojnie do celu. Albo i nie, bo z drugiej strony, czy podjęcie wysiłku ponad możliwości musi zawsze wynikać z fałszywych ambicji? Może są jeszcze jakieś inne motywy, których ja po prostu nie rozumiem. A jeżeli takie są, to czy zrozumie, czy pojme je kiedyś? Co ja tu właściwie chcę, czego szukam? Czy chcę zobaczyć kraj, czy „zaliczyć” słynne Camino, żeby się potem chwalić przejściem, czy

chcę zastanowić się nad swoimi problemami, stracić parę z moich 105 kilo, czy po prostu przez kilka tygodni robić coś innego?

Dziękuję panu, panie Shingo Yamashita..., dzięki panu zbliżyłem się trochę do celu, o którym jeszcze nic nie wiem. Proszę, Panie Yamashita, tu jest mała muszelka ode mnie. Tu będzie dobrze pasować, koło tej wstążeczki.

Dwa dni później spotkam młodego Amerykanina kipiącego siłą i energią – wcielona radość życia. Zamierza zrobić drogę najwyżej w dwadzieścia dni, a lepiej jeszcze mniej. To oznacza przynajmniej czterdzieści kilometrów dziennie. Ale to maratończyk, trzy razy w tygodniu biega wokół Waszyngtonu (miasta, nie stanu). Powinien dać radę. A może niekoniecznie? Co innego kręcić trzy razy w tygodniu te same kółka po parkowych alejkach stolicy, co innego dzień po dniu iść po nieznanym, kamienistym drogach. Wszystkiego najlepszego, Jimmy, dzięki tobie wiem, że to nie fałszywe ambicje rzuciły mnie na tę drogę. Dzięki tobie znam przynajmniej część odpowiedzi na pytanie, jakie mi zadał pan Yamashita.

Ale to będzie później. Na razie muszę dojść do Zubiri. Bądź co bądź, dwadzieścia dwa kilometry. Schronisko w Erro, w którym spodziewałem się przenocować, zostało przeniesione i leży chyba teraz w tej wiosce, którą widzę w dolinie – na oko dwa kilometry. Musiałbym zboczyć z trasy, potem dwa kilometry z powrotem, by na nią wrócić. Nie czuję się na siłach do nadkładania drogi, zwłaszcza że zniechęca mnie słowo „chyba”. A do Zubiri zostało mi jeszcze tylko siedem kilometrów. Po drodze mijam stare schronisko. Pięknie położone, z widokiem na rozległą dolinę. W cieniu zapadłego dachu odpoczywa krowa.

Droga wiedzie przez gęsty, liściasty las. Jest ciemna i wilgotna. Powoli przedzieram się przez błocko, gdy mija

mnie radośnie świergając, grupa lekkostopych, eleganckich, wesołych, niemieckich turystów. Z wdziękiem poruszają się ze swoimi szykownymi plecaczkami (dużymi akurat na tyle, aby można było zmieścić dwie kanapki, wodę i sweterek) w kierunku czterogwiazdkowego hotelu, gdzie rozpakują swoje ciężkie walizy (kierowca wstawił je już na pewno do pokoju) i przebiorą się w odpowiedni do eleganckiej kolacji strój. Szklaneczka wina z Rioja nadaje się bardzo dobrze, by podkreślać nią wrażenia z wędrówki. Czemu nie? Okolica jest piękna, jakby stworzona do wędrówki, i akurat ten odcinek, z jego pięknym lasem i perspektywami, jakie się roztaczają z licznych polanek, jest wyjątkowo atrakcyjny.

Pozdrawiamy się serdecznie, jak na turystów przystało. Dopiero wiele dni później, gdy w miasteczku Carrion de los Condes wylądowałem w małym hoteliku, gdyż wszystkie schroniska były przepelnione, dowiedziałem się, że dama, która właśnie dwoma gigantycznymi walizkami zablokowała całe foyer, też uważa, że jest na pielgrzymce, że jest już cały biznes „pielgrzymkowy”, że biura podróży organizują wycieczki, podczas których uczestnicy za ciężkie pieniądze idą piechotą, za to ich bagaże wygodnie przemieszczają się autobusem z jednego eleganckiego hotelu do drugiego i że rozświergotani turyści w lesie przed Zubiri też wierzyli głęboko, że są pielgrzymami.

Kochani, nie byliście pielgrzymami. Nawet karykaturą pielgrzymów nie byliście. Ale dobrze, że was spotkałem. Poprzysiągłem sobie wtedy – jako turysta – że nigdy nie skorzystam z usługi przewożenia bagażu, którą oferowano prawie wszędzie za jednolitą i przystępną cenę 6 euro, czyli tyle, co za nocleg. Za to ja, jeszcze turysta, po raz pierwszy poczułem się trochę pielgrzymem, bo być pielgrzymem to nie znaczy tylko pod ciężarem przesuwając zmęczone stopy tak długo, aż dojdzie się do jakiegoś noclegu, ale wziąć na

siebie świadomie także ciężar następnych dni, zaakceptować niepewność i nieść ją w sobie z radością. Dokładnie to się wtedy zdarzyło – zakiełkował we mnie pielgrzym. Jeszcze bardzo nieśmiało, ale czułem się z tym bardzo dobrze i lepszy od tych turystów. To ostatnie było oznaką, że kiełek jest bardzo malutki, bo pielgrzym nigdy nie uważa się za kogoś lepszego od innych. Ale wtedy jeszcze tego nie wiedziałem.

W Zubiri wylądowałem w bezdusznym, rzeczowo wyposażonym schronisku, prowadzonym przez gminę, które stało w takim kontraście do wczorajszego w Roncesvalles, w jakim może być tylko grill-party na trawniku w blokowisku, do zachodu słońca na Helu. Tutaj też po raz pierwszy spotkałem się z osobliwością, która miała mi towarzyszyć prawie stale w mojej wędrówce. Mianowicie z prysznicem.

Prysznice w schroniskach nie są takie jak ich bracia i siostry na całym świecie. Mają wprawdzie (z reguły) u góry sitko, z którego (z reguły) leci woda, pośrodku są krany do kręcenia nimi, a na dole odpływ. Ale na przykład niekoniecznie muszą mieć drzwi, co akurat w tych schroniskach, w których sanitariaty nie są rozdzielone wedle płci (a na jedno takie trafiłem) prowadzi czasem do uroczych scen. Ale czego w hiszpańskich prysznicach się nie spotka i spotkać nie może to... haki i stołki. Takie do zawieszenia, albo do położenia na nich ubrania. Czemu tak jest, dokładnie nie wiadomo. Tubylców pytać nie mogłem, gdyż hiszpańskiego nie znam, a oni znali wyłącznie swój język; pielgrzymi natomiast, z którymi ten problem rozważałem, skłaniali się do tezy, iż być może Japończycy ciągle jeszcze zbyt wiele żądają za licencję na haki.

W każdym razie rzecz była dość zabawna. Człowiek rzadko udaje się do łazienki nago. Jakieś tam ubranie na sobie

musi mieć i rozbiera się tuż przed wejściem pod prysznic, zwłaszcza gdy musi w tym celu przejść przez podwórko do nowego, schludnego domku, w którym w Zubiri pomieszczono toalety, prysznice i kuchnię. Idę więc splukać z siebie trudy dnia. Wszystko nowiutkie, lśni czystością, tylko używać. Z lewej toalety, z prawej prysznice, pomiędzy – dziewicza biel kafelków, a kafelki w Hiszpanii... sami wiecie. Może za ładne, żeby wbijać w nie haki? Na wewnętrznej stronie drzwi także nie ma haków. I słusznie. Kabiny są takie ciasne, że moje 105 kilo ledwo się w nich może obrócić, a ubranko by się kompletnie zachlapało. Szukam więc znowu na zewnątrz, co ma mniej więcej tyle sensu co zaklinanie deszczu przez posłów. Przecież patrzyłem już tam i wiem, że nic nie znajdę.

Opląciło się jednak wyrzeć. Haków, jak nie było, tak nie ma, ale przed drzwiami stoi pielgrzym i też chce się umyć. Węgier. Ja „nem tudom”, on „ne rozumic”. „No comprendo” umiemy obaj. Wystarczyło parę gestów, kilka spojrzeń na mokrą podłogę i Węgier stoi przed kabiną z moim ubraniem w rękę, a za chwile ja trzymam jego rzeczy, podczas gdy on radośnie się pluszcze. Ktoś miał jednak genialny pomysł z tymi hakami. Tak buduje się międzynarodową współpracę.

Następnego ranka wypróbowałem jeszcze kuchnię, próbując zagotować wodę na herbatę. Udało się. Cóż więcej trzeba? Spałem wspaniale, do Pampeluny mam dwadzieścia kilometrów, dojdę śpiewająco. Tylko dzień zapowiada się jeszcze gorętszy niż wczoraj. I rzeczywiście jest. Tym bardziej że opuściłem już podgórze Pirenejów i wysokość nie łagodzi skwaru.

Z Zubiri wychodzi się niemiło: wąska ścieżka przez opłotki, wyprowadza prosto pomiędzy jakieś ogromne wykopy i hałdy – tereny pobliskiej cementowni, ale potem wszystko nagradza zielony las. Las tak gęsty, że ścieżka pod

drzewami chyba nigdy nie schnie. Ślizgam się na ostrym podejściu, wreszcie jakiś odcinek równy, w dole potok, przed ześlizgnięciem się w który zabezpiecza idących płot z siatki. A potem – jak zawsze po wejściu na górę – zejście. Dla większego bezpieczeństwa wzmocnione starymi podkładami kolejowymi. Ułożone w poprzek ścieżki tworzyły coś w rodzaju rzadko rozstawionych stopni, które wprawdzie nie pomagały w zejściu, ale zapobiegały spłynięciu gliniastej ścieżki całkiem na dół. Na jednym z takich podkładów, jeszcze bardziej śliskim niż inne, poczułem, że fruвам. Stopy do przodu, tyłek do tyłu, a plecak nadawał przyspieszenie krzyżowi, celującemu dokładnie w belkę. Jak mi się udało wbić kijek w ziemię, to jeszcze akurat pamiętam, ale jakimś cudem wykonałem na nim taki piruet, że po trwającym całą wieczność upadku, wylądowałem na lewym boku po prawej stronie ścieżki, w miękkiej glinie, poza niebezpieczną belką. Jak to wszystko wyglądało, to wie tylko mój kijek, który trwał dumnie w miejscu, w którym mnie wyratował, wygięty w moją stronę, jakby chciał spytać, jak się czuję. Wprawdzie nic mi nie powiedział, ale mimo iż wyprostowałem go starannie i z czułością w płataninie korzeni, nie pozwalał się już zsuwać. Czuł się wielki i takim chciał już pozostać.

Nawiasem mówiąc, mój kijek należał do najniższej kasty wśród pielgrzymich kijów. Prosty i skromny, niepozorny i solidny, teleskopowy turystyczny kijek z korkową rączką, po ciężarze sędząc, nawet nie aluminiowy. Naprawdę żaden elegant. Niżej od niego były zaszeregowane tylko kijki używane parami. Uważam to za niesprawiedliwe. Kijki nie ponoszą winy za to, że ich właściciele używają ich tak niestylowo. Najwyżej w hierarchii stał oczywiście prawdziwy kij pielgrzymi. Taki kij musi być przynajmniej na dwa metry wysoki, własnej roboty, najlepiej z krzywo wyrzniętymi zdobieniami. Im bardziej krzywo, tym lepiej,

tym pewniejsza gwarancja, że własnoręcznie. Wysoko ceniona była także zwykła gałąź. Dobrze widziane były również „autentyczne kije pielgrzymie”, do nabycia w co drugim sklepiku na Camino w cenie od 8 do 12 euro. Te ostatnie miały z reguły wypaloną (czasem nawet przybitą) muszlę Jakuba, były zatem warte swojej ceny. A mimo to autentyczne stawały się dopiero wtedy, gdy podobnie jak mój, pogardzany, masowy wyrób, dotarły ze swoim pielgrzymem do Santiago de Compostela. A tam, u wrót katedry, mój tani kijek z Hong Kongu był tak samo autentyczny jak wszystkie inne. A generalnie rzecz biorąc, kijek jest – zaraz po butach – najważniejszą rzeczą na Camino, i jednych, i drugich nie można osądzać według kryteriów mody. Pielgrzym bez kija, kijka, czy kijaszka to pielgrzym stracony na długich śliskich zejściach, jakich Camino nie szczędzi. Kij musi być mocny, godny zaufania i stanowić jedność ze swoim właścicielem. Mój chyba był, bo nie tylko ja zbliżałem się do nieznanego jeszcze celu, ale także mój kijek zrobił krok w kierunku przeobrażenia się w prawdziwy kij pielgrzymi.

Liściaste drzewa zostały za mną. Teraz powoli pokonuję porośnięte piniowymi lasami pagórki. Pinie dają niewiele cienia, ale gdy się skończyły i wyszedłem na otwartą przestrzeń, nauczyłem się je cenić. Prawie nie odstawiam butelki od ust, piję bez przerwy, a do Pampeluny coraz dalej. Mam z sobą wykaz schronisk, z krótkimi opisami i opiniami pielgrzymów, którzy w nich nocowali. Pięć kilometrów przed Pampeluną jest Trinidad de Arre, schronisko w starym klasztorze, przy średniowiecznym moście, bez ogrzewania (akurat za tym tęsknię), za to ze starym przyklasztornym sadem. Mają tam także wydzieloną salę dla chrapiących. To by było tylko piętnaście kilometrów dzisiaj, ale skwar jest

porażający. Most zapowiada bliskość wody, sad obiecuje cień, a ja do tego chrapię. No i prysznice też są.

Pośrodku upału czeka na mnie nieznamy mężczyzna. Ramię w górze, jakby mi chciał dać w dziób. Ale może chce mnie raczej ugryźć, bo spod ronda skórzanego kapelusza, jaki noszą australijscy kowboje, błyszczą już z daleka niebezpiecznie duże zęby.

„Hi, Pilgrim. I'm Kiwi. How are you?”. Podniesione ramię opada do serdecznego uścisku dłoni. I tak znalazłem towarzysza dalszej drogi. Roger z Auckland czeka tu na ludzi, z którymi wyszedł dziś rano z Larrasoana. Para małżeńska z Anglii i ich przyjaciółka. Ale kobiety strasznie wolno idą. Czekamy, rozmawiamy i znajdujemy wspólny język. Postanawiamy nie iść już dzisiaj do Pampeluny, tylko zostać w klasztorze, który widać w odległości dwóch kilometrów. Anglicy wreszcie nadchodzą i ruszamy. Oni stosunkowo szybko, ja dużo wolniej, gdyż na zejściach dokuczają mi kolana.

W schronisku ani śladu Rogera i Anglików. Prawdopodobnie je przegapili. W Villava jest jeszcze jedno i tam ich pewnie znajdę. Ich strata, ja za to znalazłem się w małym rajku: klasztorny sad, chłodna trawa, ogromne stare drzewa, pełno głębokiego cienia, w nim małe kąciki ze stołami i krzesłami, gdzie można się ratować przed upałem. Nawet kilka leżaków się znalazło.

Szybko robię pranie i na sznur, by jeszcze wyschło zanim słońce schowa się za wiekowym murem. Prysznic – nie mogę sobie przypomnieć: były haki czy nie. Ale chyba kabiny były na tyle szerokie, że można było ubranie przewiesić przez drzwi bez obawy zachlapania. Z ulgą wyciągam się na chłodnej trawie, pod dużym starym drzewem. Może z pół godzinki tak spałem. Wieczorem do miasteczka, szukam mo-

jego Kiwiego. W drugim schronisku też go nie ma. Szkoda. Dobrze byśmy do siebie pasowali.

Kiedy następnego ranka opuszczam tę cudowną oazę, okazuje się, że Villava to praktycznie już przedmieście Pampeluny, i że cała droga prowadzi brzydkimi, biednymi dzielnicami. No cóż, tak też musi być. Kto powiedział, że pielgrzymka to piękne widoki i natura? Nie narzekaj, Jędrus, to tylko parę kilometrów, a Pampeluna jest ponoć bardzo



ładna. I rzeczywiście. Kontrast między ulicą, która mnie wyprowadza z przedmieścia na brzeg rzeki Arga, a parkiem, który nad nią leży, każe spodziewać się w mieście prawdziwych cudów. Gdzieś tu, kilkaset metrów w lewo, musi leżeć schronisko „Casa Paderborn”, prowadzone przez Towarzystwo Św. Jakuba z Paderborn. Bardzo polecane ze względu na komfort. Właściwie chciałem tu wczoraj dojść i gdyby mnie upał nie dobił, spałbym pewnie tutaj.



Most w Villava

